

Fragment
z rozdziału 4



Eamon odetchnął, gdy łódź uderzyła o pale skromnego nabrzeża. On i jego ludzie byli zziębnięci i przemoczeni do suchej nitki, a walka z morderczymi falami dała się im mocno we znaki. Dwóch zwymiotowało niemalże samą żółcią, gdyż ostatni posiłek jedli w południe

minionego dnia. Zemdlilo nawet roslęgo dowódcę strażników, gdy wreszcie stanął na pomoście, a świat przestał się kołysać. Chwilę trwało, zanim wszyscy doszli do siebie.

Z każdym krokiem smród przybierał na sile. Delegat wreszcie pojął, przed czym ostrzegała załoga. Był to odór przypalanego płomieniami ciała. Pytanie brzmiało tylko, czy odbył się tutaj zbiorowy pogrzeb, czy egzekucja. Widok grubych pali otoczonych szalejącymi płomieniami nie napawał optymizmem przed negocjacjami.

Gdy zeszli z pomostu i zapadli się w nasiąkniętym wodą piasku, Eamon wstrzymał swych ludzi. Coś się nie zgadzało. Przy żadnym z pali nie było ciała ani chociażby zwęglonych szczątków. Na wierzchołku każdego słupa znajdowała się przytwierdzona do niego metalowa płyta ze żłobieniami.

Zaciekawiony delegat podszedł do najbliższego stosu. Nie był w stanie zbliżyć się na tyle, aby odczytać napis, jednakże to, co zauważył, zmroziło mu krew w żyłach bardziej aniżeli lodowate podmuchy północnego wiatru. To nie były stosy ułożone z drewna, a z ludzkich ciał. Żar smażył skórę i topił tłuszcz, który wsiąkał w piasek. W wielu miejscach spieczone mięso przywarło już do wystających, szerniałych kości.

Królewski wysłannik przywołał strażników.

Szybko obliczyli, że każdy ze stosów, a było ich siedem, składał się z ponad stu ciał. Mogło zostać tu spalonych nawet tysiąc ludzi. Rycerze zakrywali usta. Widok był przerażający, a odór nie do wytrzymania. Szybko oddalili się z tego miejsca.

Szli pod wiatr, ale czuli, że ich futra oraz ciała prześląkły smrodem. Od chwili, gdy opuścili *Czerwone Brzegi*, żaden nie zabrał głosu.

Podążając wydeptaną ścieżką w stronę osady na niewielkim wzgórzu, dostrzegli rozbłysk – niebo rozjaśniła potężna kula ognia wylatująca zza palisady. Przeleciała wysoko nad ich głowami i pomknęła w stronę wód cieśniny. Wysłannik z otwartymi ustami patrzył, jak pocisk ginie między falami, generując potwornie dużą fontannę wody i obłok duszącej pary. Zanim ta rozeszła się w powietrzu, znad palisady wyleciała kolejna kula ognia. Miała niemalże identyczny tor lotu, ale tak się tylko wydawało. Rozległ się potworny trzask, a po nim krzyki smażące się załogi. Pocisk trafił dokładnie w centralną część archeońskiej jednostki, rozrzucając po pokładzie szybko zapalające się resztki. Natychmiast zajął się żagiel, a po nim liny i deski pokładu. Uszkodzony został również kadłub – łódź zaczęła przechylać się na lewą burtę.

Pomiędzy szalejącymi płomieniami można było dostrzec wioślarzy wybiegających spod pokładu. Niektórzy palili się i wrzeszczeli z bólu. Desperacko rzucali się do wody. Nie mieli wiele do przeplłynięcia, ale morze było tej nocy nieposkromione, a woda lodowata. Fale błyskawicznie pochłaniały kolejne ciała, wciągając je pod powierzchnię. Siłą wpychały słoną wodę w rozpalone płuca, bezlitośnie topiąc rozbitków.

– Na przodków... – wydusił z siebie jeden ze strażników, widząc ognistą zawieruchę, jaka rozpętała się na morzu.

– Patrzcie tam! – Delegat wskazał palące się stosy ciał.

Wiatr był tak silny, że porywał strzelające języki ognia i zapalał pobliską trawę, szybko rozprzestrzeniając ogień.

– Ratujmy ich, na litość boską! – krzyknął dowódca strażników.

– Oni już nie żyją... – powstrzymał ich Eamon.

– Nie wszyscy!

– Jeśli chcecie żyć, to zapomnijcie o nich!

– Jak wrócimy?!

Ze wzgórza dobiegł bojowy okrzyk. Wrota wbudowane w palisadę otworzyły się jakby za sprawą niewidzialnej siły i strażnicy ujrzeni hordę dzikusów wylewającą się z osady. Wojownicy biegli, jakby obiecano im życie wieczne za zamordowanie chociażby jednego wrogięgo rycerza.

– Do broni!

– To Angeci! – rozpoznał ich jeden ze strażników. – Nie mamy szans!

– Eamonie! Wracajmy do łodzi! – błagał dowódca.

Delegat brutalnie przyciągnął go do siebie i wrzasnął:

– Osobiście każę wychłostać każdego, kto zrobi choć krok w tył!

– Nie będziesz miał okazji. – Strażnik grzmotnął go pięścią w skroń. Ten zatoczył się i padł na trawę.

– Już jesteś martwy... – jęknął wysłannik.

– Wszyscy jesteśmy... Za mną!

– Co z nim? – krzyknął któryś z rycerzy.

– Przybył negocjować, więc dajcie mu szansę! Do łodzi, jeżeli chcecie żyć!

Biegli na złamanie karku. Plaża nieco ich spowolniła, ale wroga również. Szalone dzikusy przeskakiwały płonące stosy, wpadając jeden na drugiego. Widząc, że

uciekinierzy wsiadają do łodzi, zaczęli rzucać w ich stronę toporami, licząc na łut szczęścia. Udało im się dosięgnąć dwóch strażników. Jeden z toporów przebił burtę.

– Nie wyciągaj go! – Dowódca straży wstrzymał swego człowieka.

– Chciałem im odpłacić!

– Zatopisz nas! I odłóżcie te przekłete łuki! Nie mamy czasu!

Odepchnęli łódź od pomostu i wiosłowali w stronę wraku, kuląc się przed świszczącą, przelatującą tuż obok nich bronią.

Rycerz siedzący na dziobie nagle przestał wiosłować.

– Rakon! Sprawdźcie, co z nim! – rozkazał dowódca.

Jeden ze strażników złapał znieruchomiłego towarzysza za ramię, a wtedy ten przewrócił się na plecy. W jego klatce piersiowej tkwił topór.

– Wyrzućcie go za burtę! Daremnie nas spowalnia!

Dwaj rycerze wykonali polecenie bez chwili wahania.

Szybko zbliżali się do płonących resztek archeońskiej jednostki, którą chwilę wcześniej pochłonęły wody cieśniny. Na powierzchni unosiły się deski, skrzynie i beczki – wypłynęły one spod pokładu wraku. Dookoła jęczyli poparzeni rozbitkowie.

– Wiosłujcie i nie rozglądajcie się niepotrzebnie! – padł rozkaz.

– Potopią się!

– Nie zabierzemy wszystkich!

– Ale też nie możemy ich tu zostawić!

– Co więc zrobimy?!

– Oni rozwiążą to za nas – powiedział rycerz siedzący najbliżej dziobu, wskazując nabrzeże. Kotłowało się

na nim ze stu dzikich, rycząc i klnąc wniebogłosy. Ze wzgórza schodzili kolejni. Na długich palach nieśli łodzie odwrócone do góry dnem. Każdą z nich transportowało dziesięciu ludzi.

– Naszą jedyną szansą jest przepłynięcie cieśniny i dotarcie na drugi brzeg! Wiosłujcie, bo inaczej zginiecie!

– A co z nimi?! – Jeden z rycerzy wskazał rozbitków kurczowo trzymających się resztek statku.

– Wiosłujcie, mówię! – Dowódca z niepokojem obserwowował wodę zbierającą się na dnie łodzi.

Skazani na zagładę żeglarze krzyczeli, błagali o pomoc. W końcu zaczęli przeklinać głuchych na wezwania strażników. Zdesperowani uderzali pięściami w deski, nieraz kalecząc dłonie.

Na nabrzeżu dzicy przygotowywali łodzie, szykując się do pościgu.



Angeci, odwieczni wrogowie Aldarów, walczyli z falami z przerażającą zaciętością, wkładając w każde machnięcie wiosłem wszystkie siły. Szybko zbliżyli się do *cmentarzyska*. Pierwsze dwie jednostki taranowały szczątki statku. Ostatnia łódź, dopłynąwszy tam, zwolniła.

Rozochoceni całonocnym mordem, wciąż spragnieni krwi Angeci chwycili za noże oraz topory i wskoczyli do wody, rzucając się na rozbitków. Ostrza rozłupywały głowy i ćwiartowały wyziębłe ciała. Dzicy nie oszczędzili nawet trupów. Wkrótce wodę i powietrze wypełnił

charakterystyczny zapach krwi przemieszany z fetorem wydobywającym się z porozrzynanych ciał, a krzyki ofiar tłumił barbarzyński ryk.

– Skąd wzięli się tu Angeci? – wysapał jeden ze strażników.

– A jak myślisz?! Przejeli osadę na północy, a razem z nią statki Aldarów, po czym przyплыnęli tutaj.

– Dokąd my płyniemy?!

– Byle dalej! Jaka odległość?!

– Dwadzieścia długości łodzi! Mają przewagę co najmniej dwóch wioślarzy! Zbliżają się!

– Ile łodzi?!

– Pięć! Szósta została w tyle!

Dowódca spojrzał na ledwie widoczny zarys linii brzegowej po drugiej stronie cieśniny. Nie pokonali jeszcze nawet piątej części dystansu. Mięśnie niemiłosiernie paliły, a woda coraz szybciej wypełniała łódź.

– Musimy ich spowolnić! To nasza jedyna szansa! Strzelaj, ale celnie! – rozkazał dowódca siedzącemu na dziobie rycerzowi.

Łodzią kołysało, więc łucznik miał utrudnione zadanie. Pierwszą strzałę utopił, druga wbiła się w burtę. Dopiero trzecia osiągnęła cel. Na szczęście czwarta również...

– Dobra robota! Bierz się za następną łódź!

Angeci natychmiast pozbywali się ciał, które niepotrzebnie ich obciążały. W gniewie miotali toporami, ale te nie osiągały nawet połowy dystansu. Na szczęście nie mieli łuków. Byli znani z zaciętości i waleczności na polu bitwy, ale posługiwali się wyłącznie bronią białą – jak większość prawdziwych wojowników, za jakich się mie-

li. Często przypłacali swe lekkomyślne ataki wieloma ofiarami, ale gdy dochodziło do walk w bezpośrednim starciu, nie mieli sobie równych.

Łucznik położył już sześciu dzikich, ale dwie łodzie płynęły jeszcze w pełnym składzie, coraz szybciej zbliżając się do uciekinierów. Zapas strzał kurczył się, a wzburzone morze uniemożliwiało dokładne wycelowanie. Łodzie Angetów często całkowicie znikwały z pola widzenia.

– Patrzcie! – krzyknął łucznik.

Z pięciu jednostek nieprzyjaciela płynęły już tylko trzy. Pozostałe dwie wywróciła potężna fala.

– Wiosłujcie ze wszystkich sił! To nasza jedyna szansa! – wrzeszczał dowódca. Zdjął hełm i zaczął wylewać nim wodę.

Archeońska łódź była stabilniejsza i odważniej stawiała czoła falom. Angeci zrozumieli, że jeśli nie zrezygnują, czeka ich śmierć. Zniesmaczeni nieudanym pościgiem zawrócili, gdy tylko nadarzyła się okazja i trafili na łagodniejsze fale.

Strażnicy podnieśli ręce w geście zwycięstwa, a z ich gardeł wydobył się entuzjastyczny ryk.